

Kronika tygodniowa.

Jedną nogą udało się nam więc wyleźć z owego katastrofalnego miesiąca trzęsienia ziemi, stojącego w ścisłym związku z plamami na słońcu. maluczko, a minie on już w zupełności, jeśli, ma się rozumieć, nie pomylił się ów uczony, który koniec jego zapowiedział na dzień dwudziestego lipca. Obeszło się, dzięki Bogu, bez trzęsienia ziemi, przynajmniej u nas i w naszym bezpośrednim sąsiedztwie, choć nie powinno się zbyt głośno krzyknąć: „hop!“, gdyż mamy przed sobą jeszcze cały tydzień, w którym wisi nad nami ów miecz Damoklesa, kronikę bowiem, z najwyższego rozporządzenia drukarni, zaczynam już w sobotę, a trudno przewidzieć, co nas spotkać może do czwartku, to jest do dnia ukazania się niniejszego numeru *Nowości ilustrowanych*.

Mam przecież nadzieję, że jakoś to będzie. Do wszystkich tych kłopotów, jakie nas czekają, potrzeba jeszcze trzęsienia ziemi!... Wówczas nie pomoże i nawoływanie fizyka miejskiego: „Mimo przeciwności nie upadaj na duchu!... bo, nie tylko na duchu, ale nawet na nogach nie będzie się człek mógł utrzymać.

Zwłaszcza kamienicznicy są w ogromnym strachu o los swych realności, budowanych według najnowszych wymogów techniki, grożących więc i bez trzęsienia ziemi zawaleniem. Córnka jednego z nich, gdy zapowiadał, że kwestyę tę poruszyć muszę w najbliższym numerze, zawołała z przerażeniem:

— Panie! Niech pan lepiej o tem nie pisze!... A nuż zwali się kamienica mojego papy!... Co będzie wówczas z mym posagiem, który jest na niej zhipotekowany?... Pisał pan przecież, że teraz interes na pierwszym miejscu, a serce dopiero na drugim!

W tem strapieniu pocieszyłem ją przecież, że tak źle nie jest, jakby się wydawało, są bowiem jeszcze ludzie, kierujący się uczuciem, czego najlepszym dowodem list, jaki otrzymałem w dniu dzisiejszym.

Brzmi on, jak następuje:

„Panie Kronikarzu! Anons małżeński „Krzaka gorejącego“ przypadł mi do gustu, ba, powiem nawet, że wzruszył mnie do głębi. Jestem Panu wdzięczny, iż przytoczył go Pan w swej poprzedniej kronice. Takiej towarzyszkii życia właśnie szukałem, a nie mogłem jej znaleźć!... Z tenoru ogłoszenia widzę, że jest to osoba prawdomówna, nie lubiąca się zbyt chwalić, a, choć sama powiada, że jest starszą i brzydką, ja gwizdam na to!... Że jest starszą, to nawet lepiej, gdyż na więcej życiowego doświadczenia, niż jakaś tam szesnastoletnia sroczka, co zaś do brzydoty, to rzecz względna!... Nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba. Piękność, to zresztą zaleta zewnętrzna, a ja szukam wewnętrznych. Serce, Panie, to u mnie grunt!... A z tego poznaję, że ona ma serce, wobec czego oświadczam kategorycznie, iż bardzo chętnie powiesiłbym się na tym „Krzaku gorejącym“, zwłaszcza, że posiadam wszystkie wymagane warunki. Jestem inteligentny, wykształcony, znajduję się w granicach przepisanego wieku, co zaś najważniejsze, zajmuję stanowisko nie tylko wyższe, ale nawet najwyższe w Krakowie, pełniąc obowiązki trębacza na wieży Maryackiej. Kolejarem nie byłem nigdy i nie będę, tak mi Panie Boże dopomóż! Jeżeli znany Panu Kronikarzowi bliższy adres „Krzaka gorejącego“, proszę mi go podać odwrotnie, choćby w nieopłaconym liście, a będę Panu wdzięcznym do grobowej deski. Przyjm Pan... i t. d.“

W całym liście ani słowa o posagu! Strapiiona córnka kamienicznika, z którą serdecznie współczuję, odeszła odemnie pocieszona, nie obawiając się już trzęsienia ziemi i jego wpływu na jej ewentualne zamążpójście.

Dajmy jednak spokój tej sprawie, by niepotrzebnie nie wywoływać wilka z lasu! I bez trzęsienia ziemi katastrof w ciągu miesiąca było dość, że tylko wspomnę moją awanturę z Weronisją. Skończyła się, dzięki Bogu, (awantura, nie Weronisia!...) całkiem pomyślnie, pogodziliśmy się w zupełności, na czem ja wyszedłem najlepiej, gdyż kochająca małżonka, chcąc mi wynagrodzić cierpienia, karmi mnie teraz stale bobem, za którym, nawiasem mówiąc, przepadam. Jest to z jej strony dowód najwyższej łaski, świadczenie na mą korzyść nawet z uszczerbkiem dla budżetu domowego, gdyż bób płaci się dziś na wagę złota, niczem owe nowe ziemniaki, którymi Amerykanki zastępują drogie kamienie. Dlaczegoż jednak nie miałbym używać na bobie, choćby i drogi, zwłaszcza od chwili, gdy dowiedziałem się, że nie jestem takim zerem, za jakie się dotąd uważałem, ale posiadam wartość, według słów pana fizyka Janiszewskiego, (referat, wygłoszony na Zjeździe higienistów w Warszawie) przeszło dziesięć tysięcy koron. Tyle warta również i moja lepsza połowa. Weronisia, bardzo też żałuję, że nie pomyślała

dotąd o jakimś zakładzie zastawniczym, gdzie możnaby na ten klejnot otrzymać pewną zaliczkę. Kontentowałbym się nawet połową urzędowo stwierdzonej jej wartości...

Wracając jednak do bobu, muszę powiedzieć, że jest to pokarm bardzo zdrowy! Co zaś ważniejsze, nie można go fałszować, lub zastąpić jakimś mało wartościowym surogatem. Wsunąwszy sobie na obiadek porcyjkę, idę potem na spacer na Błonia, by tam odetchnąć świeżym powietrzem, westchnąć gorąco nad naszą niedolą i rozradować oko ziemniaczkami, rozwijającymi się bardzo pięknie, choć powoli. Nie zeszły tylko te, których nie zasadzono. W ten sposób łączę przyjemne z pożytecznym. zdaje mi się bowiem, że jestem na wsi, choć za rogatki miejskie bynajmniej nie wyjechałem i mam materiał do prawdziwie wakacyjnej kroniki, opiewającej „sielski-anielski“ pobyt na łonie prawdziwej natury.

A wszystko to zawdzięczamy tylko owej wojnie, kto więc miałby zamiar zajęcia się opisem jej złych i dobrych stron, ma już gotowy temat przynajmniej do jednego rozdziału.

Na wyjazd z Krakowa, o ile do tego nie będzie człowiek zmuszony okolicznościami, pozwolić sobie na razie nie mogę. Horyzont polityczny zaciągnął się tak paskudnymi chmurami, iż można być przygotowanym na wszystko najlepsze i najgorsze, wytrawni nawet politycy nie mogą wyczuć, co w trawie piszczy i jeden pyta drugiego o cenne zdanie. A gdzież tu na wsi politykować i z kim, skoro mężczyźni we wojsku, a niewiasty zajęte gospodarstwem, lub obliczaniem zysków za sprzedane w mieście jajka, masło, jarzyny, owoce i t. d. I tu widoczne dobre skutki wojny, coraz częściej można spotkać jedwabne bluzki, atlasowe halki, rękawiczki, ba, nawet różne kosmetyki i mydelka pachnące, czego dotąd nie znały nasze poczciwe Kasi i Marysie. Dopiero wojna nauczyła je tego!

Choć i w mieście politykowanie jest obecnie także bardzo utrudnione, gdyż wymiana myśli potrzebuje odpowiedniej ilości wilgoci, a tę trudno znaleźć, gdyż rok 1917. jest wybitnie suchym, nie tylko pod względem opadów atmosferycznych, ale także i piwa. Wystarczy powiedzieć, iż słynne piwne źródło, czeskie Pilzno, ogłasza, że w jednym browarze wyrabiać będzie wodę sodową, w drugim zaś surogat, mający zastąpić piwo. Co zaś warte są surogaty, wiemy to z doświadczenia!

Kraków dostaje wprawdzie jeszcze nieco piwa i to nawet tak zwanego pilznera (pod tą nazwą podszywa się dziś bylejaką lura!), ale w nosci ogromne ograniczonej, więc też personal restauracyjno-szynkarski, poczynawszy od samego właściciela, a skończywszy na najmłodszym chłopcu, uważa bacznie, by przypadkowo który ze „sztamgastów“ nie spuścił więcej, niż dwie bombki, co mogłoby być połączone ze szkodą dla innych, którzy, gdzieindziej już dwie wysączywszy, jeszcze tutaj nadejść mają, a cieszą się specjalnymi względami poszczególnych członków personalu. Bo, trzeba wiedzieć, że sympatye i antypatye, zwłaszcza w krakowskich lokalach śniadankowych, wchodzą i wchodziły zawsze w grę. Jedni goście lubiani są przez pana Jana, inni przez pana Romana, tych otacza względami Staś, tamtych Maryan lub Józek, starają się też specjalnie o nich, a reszta niech sobie czeka, lub puka!

Prosiszko drugą bombkę, dajmy na to, Maryan odpowiada ci:

— Pan dobrodziej wypił już dwie!

A od jego orzeczenia niema rekursu, nawet do władzy wyższej, choćby najwyższej, chyba na główny „verlag“, który jednak o tym czasie jest już zamknięty.

Wobec więc tych warunków, dyskusja polityczna jest utrudniona, po pierwsze bowiem trzeba się spieszyć, by otrzymać swą przepisana porcyję, gdyż może braknąć, po drugie, trzeba rozważać, jaką obrać drogę, by gardło zwilżyć, jeśli tutaj oświadczać:

— Piwo się skończyło!...

Na roztrząsanie kwestyi politycznych mało więc czasu pozostaje i to jest właśnie powodem, iż nie mogę powiedzieć już dziś, czy pan Bethmann Hollweg się utrzyma, czy też przejdzie w dobrze(?) zasłużony stan spoczynku, czy wojna się skończy, jak i kiedy, lub czy miał rację szesnastoletni Hsuan Tung, że się ogłosił cesarzem chińskim i zaraz potem abdykował. Taki młody i już emeryt. bo chyba republikanie nie odmówią mu zaopatrzenia na starość. Republikanie i demokraci, to jedna graba, a wiadomo, choćby z naszych stosunków, iż demokracja bardzo chętnie uchwała honorowe emerytury, ciekawy więc jestem, dlaczego republika miałaby być gorszą.

Politykowaniu staje na przeszkodzie także i aprowizacja, stanowiąca dziś jeden z najbardziej aktualnych tematów rozmowy. Chleb, mąka, cukier, kawa, owoce, nabiał, jarzyny, węgle, nafta i tym podobne artykuły to przedmiot troski każdego, bez względu na to, czy posiada swe ognisko domowe, czy też grzeje

się przy cudzem. Do tego trzeba dodać kwestyę ubrań, mieszkaniową i im pokrewne, a zrozumie się łatwo, że można zapomnieć o szerszej polityce.

Bez głośniejszego echa przeszła też z tego samego powodu sprawa fundacyi jubileuszowej krakowskiej Kasy Oszczędności, mającej zakupić las bielański i Panieńskie Skąły i urządzić tam park ludowy dla wygody i zdrowia mieszkańców. Powiedziano wyraźnie, że mają to być „płuca Krakowa“, na co się i ja zgadzam, stwierdzając przecież równocześnie, iż wielu jest malkontentów, mających może i słusność, którzy mówią:

— Co mi tam płuca! Ryba płuc nie ma, a jednak żyje. Dziś żołądek to grunt!...

Owi jegomoście byliby niezawodnie bardziej zadowoleni, gdyby Kasa Oszczędności, na uświetnienie pięćdziesiątej rocznicy swego istnienia, zafundowała raczej jaką jubileuszową kiełbasę dla głodnego ogółu, bo, przynajmniej trzeba, dawno już nie mieliśmy żadnej gratisowej publicznej wyzerki (na koszt miasta).

W każdym razie jestem dumny z owej fundacyi Kasy, zwłaszcza, że zaliczam się też do grona fundatorów (przyczyniłem się do zakupu bodaj jednego drzewka na Panieńskich Skąłach, pozostając z tutejszym Zakładem zastawniczym w bardzo ścisłych od lat stosunkach), mogę więc ze swej strony tylko wyrazić słowa uznania i wezwać inne tego rodzaju instytucje do naśladowania pięknego przykładu.

Kraków, już rozszerzony, rozszerzy się w ten sposób jeszcze bardziej. „Park bielański“ będzie równocześnie i pamiątką obecnej wojny, o ile, *nota bene*. sprawa cała nie ugrzęźnie gdzieś znowu z powodu „nieprzewidzianych przeszkód“, jak się to u nas dzieje, weźmy na przykład choćby pomnik Kościuszki, internowanego od lat na podwórzu koszar Straży ogniowej. Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie i że jeszcze w tem stuleciu będziemy mogli urządzać wycieczki do Parku ludowego na Bielanach i Panieńskich Skąłach.

Chyba, że tymczasem spłonie cała Europa, jeśli Anglia pójdzie za radą przedstawiciela australskiej Izby przemysłowej, pana Oktawiusza Karola Beate i podpali wszystkie lasy niemieckie w godzinach popołudniowych w lipcu i sierpniu. gdy upały są największe. Wojna się wówczas niezawodnie skończy, ale nie jest bynajmniej wykluczonem, że pożar może się przenieść i na kraje sąsiednie, nawet neutralne, ba, zagrozić i samej koalicji. Jedynym środkiem obrony, do którego mogłyby się uciec Niemcy, byłoby pokrycie całego kraju szklanym lub innym ogniotrwałym dachem. ale równocześnie, na podstawie dat statystycznych, stwierdza tenże sam pan Beate, iż na sporządzenie tego ochronnego środka brakuje materiału, wobec czego Anglia powinna natychmiast przystąpić do dzieła i wysłać swych lotników nad Niemcy. Nadto należy się postarać, by w tym czasie, broń Boże, nie padał deszcz, wiał zaś wiatr jak najsilniejszy. Rewanż ze strony Niemiec jest wykluczony, gdyż Anglia nie posiada wielkich i łatwopalnych lasów.

Kto wie, czy ów pan Beate nie jest przypadkiem agentem jakiegoś Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, które chciałoby zrobić dobry interes na ludzkiej naiwności.

Czeka nas więc miła perspektywa!... jeśli nie śmierć pod gruzami zwałonego w czasie trzęsienia ziemi domu, usmażenie się żywcem podczas pożaru środkowej Europy (a może należałoby tymczasem wyciąć wszystkie lasy ze względów bezpieczeństwa?... przyp. zecera). Śmierć zaś taka, czy owaka, nie jest bynajmniej przyjemną, zwłaszcza, że i po śmierci nie dadzą nam spokoju, jak to widzimy z ogłoszenia urzędowego, zamieszczonego w *Gazecie lwowskiej*:

„T. IV. 9/17. 2. Zeznaniami zaprzysiężonych świadków i poświadczeniem zwierzchności gminnej w Korczyni z dnia 3. marca 1917. udowodniono, że X. Y., gospodarz w Korczyni, zmarł tamże przed trzydziestu laty. Gdy zatem można przyjąć, że zaistnieją warunki ustawowego domniemania śmierci w myśl § 24. ust. cyw., zarządza się postępowanie celem uznania wymienionej osoby za zmarłą, a zarazem ogłasza się wezwanie, aby udzielono wiadomości o zaginionym sądowi, albo ustanowionemu dlań kuratorowi. X. Y. wzywa się, aby *stawił się przed podpisanym sądem, lub w inny sposób dał znać o sobie*. Po dniu 15. października 1917. sąd na ponowny wniosek orzeknie ostatecznie o uznaniu go za zmarłego“...

Ogromnie jestem ciekawy, w jaki sposób zmarły przed trzydziestu laty X. Y. „stawi się w sądzie, lub da znać o sobie“?... Choć dzieją się na świecie cuda! Sam widziałem nieboszczyków, oddających głosy przy wyborach...

